



Dwumiesięcznik uczennic Seminarjum Nauczycielskiego w Marjówce.

DO NASZYCH KOLEŻANEK W ŚWIECIE.

Po świętach Wielkanocnych (3. IV) zjazd i spotkanie się w murach, które nas wychowały! Przybądźcie wszystkie. To zrobi dobrze na nasze usposobienia i zapal do pracy, może cokolwiek już ostudzony trudnościami życia szarego. Tu odnowimy sobie nasze ideały dobra, przypomnimy sobie dawne przeżycia, tu również spotkamy kochające serca i otwarte podwoje naszej szkoły. Cztery roczniki, przybywajcie!

ZARZĄD KOŁA BYŁYCH WYCHOWANEK
SEMINARJUM.

Uśmiechnij się.

Uśmiechnij się! Czyś słyszała kiedy takie hasło? — To hasło „Iskier” — pisemka dla młodzieży.

To hasło żąda od nas — młodzieży — uśmiechu, ono żąda ciepła wśród chłodu, słońca w dzień pochmurny.

Uśmiechnij się! Bo wokoło ciemno, bo wiatr rzuca garściami śniegu w okna, bo zima ściele białe ciche równiny, z których idzie smutek. . .

Trzeba zrobić jeden wysiłek, a będzie on w stosunku do innych — niewielki, trzeba wydobyć tylko na usta uśmiech, schowany głęboko w sercu. Uśmiech zakwitnie serdecznie, a w duszy stanie się jasno i zrozumiemy, że ten uśmiech można na zawsze zatrzymać w oczach i na ustach, że on nam przyniesie powiew swobodniejszego tchnienia i słoneczną pogodę.

Czy to mało?

A wtedy smutek pozostanie gdzieś poza nami, daleko. . . I wieczne przesmutne zadumy.

A teraz spokojnie spójrzmy na nasze życie. Uważamy je za takie monotonne i szare, że nawet nie trudzimy się o rozjaśnienie go przez znajdowanie lepszych, radośniejszych chwil. Dni płyną podobne do kropel jesiennego dżdżu — jednostajne. . . Myśl leniwieje, a w głębi ducha usypia wola i siła. Serce nie bije zapalem i mocą, poddaje się bezwolnie truciznie zniechęcenia i egoizmu. Każdą jaśniejszą chwilę tłumi przypomnienie jakichś dawniejszych przykrości. Nie mamy siły zapomnieć. . . Nie mamy siły. . .

Nie chcemy wytrwać w zamiarach, obawiamy się czynu. . .

Lecz teraz zaradzimy temu.

Uśmiechnijmy się wszystkie jednym, ciepłym, serdecznym uśmiechem!

Obudzi się wola, wytrwałość i moc.

Moc cudowna, która przypnie nam skrzydła do ramion i każe lecieć w krainę ducha, gdzie leży głęboka mądrość życiowa.

Przekonamy się wówczas, że jest słońce i radość w nas, koło nas i w innych. Tylko chcijmy ją wypatrzyć w każdym dniu, w każdym serdeczniejszym spojrzeniu, w drobnej przysłudze i grzeczności, w bliższym obcowaniu z koleżankami, w pracy nad nauką i nad sobą. Ona naprawdę jest! Ta złota radość z tęczowymi skrzydłami!

Rozjaśnijmy więc jednym radosnym uśmiechem świat! Wszak my — to młodość, to lot nad poziomy, do gór!

I ci, którzy zapomnieli o uśmiechu, przypomniaj go sobie, uleczą się, jak chory pod wpływem słońca. I dni będą mijają pogodnie, a duch nabierze takiej mocy, że bez trwogi zmierzy się z przyszłością.

Więc uśmiechnijmy się tak z serca, z jego samej głębi, a wtedy spójrzmy na życie!

S. P. (kurs III)

X
Z moich myśli.*do Rydla*

Cisza... ale tylko w klasie, bo, ilekroć otworzą drzwi od sali rekreacyjnej, słychać ognistą melodię mazura... Bawią się... Ale myśl moja usuwa się stamtąd prędko... nie lubię wesela, wolę smutek... Czuje się jakoś nieswojo, niepokój dziwny, nieokreślony wkrada się do duszy, więc, aby nie dać folgi swej płaczącej naturze, wyciągam — „Barda Polskiego,” uśmiecham się do niego jak do przyjaciela i na chybił trafił otwieram... Od kartek płyną strofy Rydla:

„Tak mało na świecie dobroci

A tyle jej światu potrzeba”...

Uderzyło mnie to... Czyżby mało było naprawdę dobroci?... Ale nie... Przecież widzę tyle serdecznych, dobrych twarzy, płyną ku mnie szczere uśmiechy, słodczy pełne słowa i fale świetlane... ciepłe... Coraz więcej... więcej?...

Bo cóż nazywamy dobrocią?... Kiedy którakolwiek z koleżanek pomoże drugiej, wówczas w nagrodę płyną ku niej ciche słowa: Jakaś ty dobra...

A więc dobroć to jakiś szlachetny poryw, za który zdobywa się życzliwość, uznanie, wdzięczność. Kiedy myślą przebiegam wszystkie koleżanki, to widzę, że wszystkie posiadają dużą dawkę dobroci, która zdaniem Rydla, powinna promieniować na innych. Więc dążyć trzeba do kształcenia porywów do dobrego, bo:

potęga jej w sercu poczęta

nie mija bezpłodnie i marnie...

Więc muszę zdobyć tę potęgę, muszę nauczyć się być dobrą, bo dotychczas umiałabym być tylko smutną, ale to podobno bardzo mało... Mówią mi zawsze, że smutek jest potęgą niszczącą, a ja pragnęłabym osiąść potęgę budującą, taką właśnie „nie przemijającą bezpłodnie i marnie.” Chcę koniecznie nauczyć się dobroci...

... Od strofek wiersza płyną ku mnie uczucia rzewne... Dobro... to przecież coś głębokiego, czystego...

Widzę tłumy ludzi, kierujących się tą siłą, co:

leśne ptaszyny oswoi,

Ze same do rąk się jej zleca

I serca najdziksze rozbroi,

Że same dobrocią zaświecą.

Wielkie to zadanie... rozbrajać najdziksze serca... Jakby to dobrze było dołączyć dobroć do czynów swoich...

Możeby prysnął smutek, ten mój nieodstępny towarzysz i możebym miała więcej zadowolenia moralnego...

Więc nauczcie mnie dobroci, ... koleżanki drogie, tej potęgi cichej a doniosłej, której „mało na świecie, choć tyle jej światu potrzeba”...

Wrzos.

Rozmowa kwiatów.

Dzień był mroźny, skrzący się śniegiem, prawdziwie zimowy dzień. Gdzieś, na zachodzie krwawiły się zorze, zapowiadając, że może być — jeszcze mroźniej. Powietrze było ostre, kłujące, świat zaśniewiony, piękny, ale przerażająco zimny.

Nigdzie ni ptaszka, ni gałązki...

Wszystko oblepione bielą nieskalaną, mieniającą się w zachodzącym słońcu...

Ziemia była pod berłem lodowatej władczyni... W wielkim ogrodzie, w zacisznej ustroni tuli się ku ziemi ośnieżonej niska budowla — cieplarnia.

Wzorzyste szyby, — dzieła mrozu — okrywały dach i ściany tego pałacu kwiatów.

Wejdźmyż do środka i posłuchajmy dyskretnie, — co mówią kwiaty...

— — — — —

W ciepłym wonnym powietrzu szepta rozmów i westchnień.

„Co to będzie? co to będzie? —

— Szeptce smutno białokielicha kalja...

Umrzemy... kiwając się żałośliwie, wzdychając laki i kamelje...

Co poczniemy?

A już mniej dziś ciepła w naszej komnacie — smutno skarżą się asparagusy... Ciężki los...

— Słyszałem: — odezwał się głośniejsz fiótek alpejski, jak mówił dziś nasz opiekun do rządcy. Źle będzie, węgla nie można dostać, a kwiaty potrzebują ciepła. — Nie mają węgla — jęknęły jednocześnie kwiaty... co to będzie?

Zaco ja tu znoszę te męki? — warknął ostro stary kaktus, — zaco oni mnie wiążą?...

— Gdyby mnie nie przywieźli — żyłbym sobie dziś spokojnie, na meksykańskiej ziemi, nie potrzebowałbym wiedzieć o jakichś tam węglach i mrozach... Siedź cicho, — odciął się głośno mirt...

Powinieneś prosić Najwyższego, by zesłał ciepło, — a nie denerwować się!...

Nic ci to nie pomoże...

— Jacyście wy niegrzeczni, — wtrąciła się z wyrzutem mimoza, — ja więcej cierpię, a jednak nie narzekam -- dodała cicho, schylając główkę.

— O, przechwalasz się kochanko, — rzucił fiótek, — wszyscy cierpimy jednakowo, choć każde na swój sposób. —

— Uspokójcie się, proszę — odezwała się poważnie kalja — w ten sposób nic nie pomożecie — lepiej poprosimy Boga, by zesłał ciepło...

— Poprosimy, poprosimy, — krzyknęły jednym głosem usta kwiatów, — przecież Pan Bóg nie pozwoli nam umrzeć...

Nie pozwoli, nie pozwoli!...

I wszystkie delikatne ramionka w koronach płatków otulone, westchnęły modlitwą. . .

„Nie daj, Boże, byśmy pomarзли, nie pozwól, byśmy pomarзли, pozwól, byśmy mogli jeszcze żyć, na chwałę Twoją i upiększać świat, któryś Ty stworzył, — pozwól, o Panie”. . .

I nagle rozjaśniały szyby tysiącem drogich kamieni. — Poprzez omrożone szkło wpadł mały promyczek i ucałował bladą twarzyczkę mimozy. Słońce! słończko! promyczek! — śpiewały kwiaty. . . kochane słonko! . . .

Wysłuchał Pan. . . wysłuchał. . .

I wzniosły się ku górze wonie dziekczynne ku Temu, który jest dobry i łaskawy. . .

— — — — —
A na świecie mróz ustępował.

Płakały gałęzie drzew ze szczęścia, że słońce przyszło, że Bóg jest dobry. . .

Wioletta.



O PRZYJDŹ, WIOSENKO.

O, przyjdź wiosenko! O, przyjdź pełna blasku,
Radosnych wzruszeń, młodzieńczych zapałów. . .
I stań w powodzi porannego brzasku
Wśród śniegu zwałów. . .

I przynieś z sobą wiele ciepła, słońca,
Wiele radości, uśmiechów bez końca.

O przybądź wreszcie, bo zima — królowa,
W kajdany z lodu pościnała światy,
Bo już zamarła świeża ruń łąkowa,
Pomarły kwiaty. . .

Bo poprzez lasy i sady i pola
Idzie z lodowym podmuchem niedola. . .

O, przyjdź więc do nas, ty pełna światłości
Razem z skowronkiem, co śpiewa hen, w niebie;
Wiem, że nam ześlesz uśmiechy, radości,
Bo wierzę w ciebie. . .

O, przyjdź, wiosenko! My cię tak kochamy
I w pętach zimy twej zjawy czekamy.

Śnieżka.

Mrozy w Marjówce.

Och, jakże zimno, jak strasznie zimno! Brr...

Wiesz co, Hanka, to jest niemożliwe; albo ogłaszamy rebelję, albo... albo... hm... jak myślisz, co tu trzeba zrobić, gdy jest tak zimno?...

— To się wie, że ciepło ubrać — odpowiada zapytana, — nie tak, jak ty, nawet bez swetra. —

— Ubrać, powiadasz? Może masz rację. Wiesz, choć, pójdziemy ubrać się ciepło. —

Rozmowa powyższa prowadzona była pomiędzy poważnemi uczniami kursu V w obszernej sali kursowej. Na oknach mróz w najbardziej fantastyczne kształty pomalował kwiaty, takie ładne, ale zarazem przerażające swym lodowatym wyrazem. Na kursie piec był obłożony. Wszystkie siedziały w bardzo dogodnych pozycjach. Konwersacja toczyła się na temat 27-stopniowego mrozu. Hanka i Krysia oddaliły się cokolwiek od całej grupki i skierowały się w stronę drzwi, by się „zabezpieczyć” od zmarznięcia. Po chwili wróciły w paltach, chustkach, śniegowcach i rękawiczkach. Przyjęte zostały przez zgromadzone u pieca audytorjum z wielkiem uszanowaniem dla genialnego pomysłu, który w krótkim czasie znalazł wiele naśladowczyń.

Podczas lekcji na zapytanie pań, czy wybieramy się na Syberję, odpowiedziałyśmy jednogłośnie: — 27°!

— Ależ, moje panienki, odpowiadały na to panie, takie mrozy były kilka dni temu, dziś jest znacznie cieplej. —

— Mój Boże — myślałyśmy wtedy, — paniom to pewno, że ciepło, siedzą sobie, a my musimy się nawet uczyć! —

Na domiar złego podczas obiadu pani wychowawczyni ogłasza, że wobec mniejszych mrozów spacerzy będą się odbywały regularnie i „niema żadnych zwolnień!” Oho! jeszcze głos pani nie przebrzmiał, a już słyhać zwierzenia. — Hanka, wiejemy, no, nie? — Wiesz, to dobra myśl, schowamy się pod katedrę i nikt nas nie dojrzy. —

Po obiedzie więc zaraz odbyła się próba siedzenia pod katedrą. Okazało się jednak, że w paltach stanowczo we dwie zmieścić się nie można. Trzeba więc było zaryzykować, i wybrać zmarznięcie pod katedrą bez palt, albo pójście na spacer. Oczywiście wybieramy to pierwsze. Z wielką pewnością siebie, z wielkim ferworem Hanka i Krysia idą do szaf powiesić palta, by argusowe oko pani nie spostrzegło ich istnienia.

Z jeszcze większą pewnością siebie schodzą na dół do klasy, zabierają się do włożenia pod katedrę... i... o zgrozo! miejsca były już zajęte. „Muniok” i „Mucyk” wyprzedziły je... Nie pomogło tłumaczenie, uzasadnianie, Mucyk się uparł, ani rusz.

— No, w takim razie poświęcam się i idę — mówi wzburzonym głosem Kryśka, wychodząc z wielką godnością z klasy.

— Ja także robię tę ofiarę dla... Końca jednak tej przemowy Hanusi nie można było usłyszeć, gdyż skończyła cichym głosem.

Nie było rady. Razem ze wszystkimi dziewczynkami musiały biedne ofiary podążać w stronę „bieguna”. Ten „biegun” to duża, wielkości płotu zaspą śniegowa, dzięki której można było bez przechodzenia przez furtkę przejść na drugą stronę parkanu. Jakoż po kilku minutach cały „spacer” był poza obrębem Marjówki i podążał w stronę Zawady. Biedne jednak „poświęcające się ofiary” pozostały na „biegunie”... Widocznie jednak przechadzka dobrze wpłynęła na ich humory, bo zapomniały jakoś o 27-stopniowym mrozie i o przykrej przygodzie z katedrą, zaczęły bowiem wykonywać najprzeróżniejsze i najbardziej wymyślne ćwiczenia gimnastyczne. Były tam skoki wdał, wzwyż, fikanie kozłów, a wszystko naturalnie po kolana w śniegu. Były zjeżdżania z góry na „przyczepnego,” to znowu jedna za drugą. Zjeżdżania te kończyły się najczęściej stoczeniem obydwóch w śnieg. Śmiechu było przytem coniemniara.

W krótkim czasie na „biegun” zaczęło przybywać coraz więcej amateerek fikanie i zjeżdżania.

Dziwna rzecz! W klasie zimno było nawet w palcie, i w szalu, i w chustce, teraz zaś chustkę się zrzuciło i było całkiem ciepło, bo nawet gorąco. Zabawa na „biegunie” trwałaby może dłużej, gdyby nie pani wychowawczyni, która przerwała rozkoszną zabawę, każąc wracać do domu i zmienić obuwie. Z wielką niechęcią wprowadzie i ociąganiem się wracały wszystkie do szkoły.

— Eh... Wiesz co, Kryśka, nie taki znowu ten spacer straszny... nie. —

— Masz rację. Nawet całkiem nieźle zabawiłyśmy się i wiesz, w klasie zrobiło się jakoś cieplej. Zauważyłaś? Nie tak nam znowu źle, jakby się zdawało...

A hen, na świecie mróz panował, mróz straszny, nieubłagany, tyle strat, tyle bied przynoszący...

Wszystkie my jednak śmiało powiedzieć możemy za Kryśką i Hanką: Nie tak nam znowu źle, jakby się zdawało!

Śnieżka. (kurs III)



Nowy przyrząd gimnastyczny.

Pewnego dnia zobaczyłyśmy na sali między różnej wielkości paczkami, przysłanymi z poczty, jedną, która szczególnie nas zaintrygowała. Paczka ta od pozostałych różniła się przede wszystkim swoim dużym rozmia-

rem, co głównie zwróciło na nią naszą uwagę. Każda z jakimś radosnym niepokojem szukała adresu: a nuż to dla niej? Ale adres był do seminarjum. Ciekawe, co nowego sprowadziło seminarjum? Zaczęły snuć się różne przypuszczenia. Wiecie, to jest chyba coś w związku z karnawalem! Ale co? — No tak, w związku z karnawalem, to co? — może jakie kostiumy na zbliżającą się zabawę, maski, lub, co pewniejsza, jaka niespodzianka na tłusty czwartek?

— Z pewnością jakieś nowe podręczniki — wtrąca któraś, — lub książki do biblioteki, ot i cała niespodzianka, macie też nad czym tracić czas.

Grono ciekawskich rozbiegło się, każda w swoją stronę, ale myśl o tem, jaka jest zawartość paczki pobiegły za każdą i krążyły jak natrętny owad, nie dając spokoju.

Aż rzecz się wyjaśniła.

— Koleżanki — woła jedna, wpadając na kurs, jutro będziemy miały wesołą gimnastykę — jest nowy przyrząd. Ta wielka paczka — dodaje tonem wyjaśniającym — do której były różne przypuszczenia, to właśnie ten przyrząd.

— Co? Gdzie?

— Chodźcie na salę, to zobaczycie.

Gromadka ciekawych zbiegła na dół, gdzie obok drabin, ławek i od wszystkiego gorszego „kozła” zobaczyła rozciągnięty na podłodze materac.

— Co my będziemy z nim robić? — pyta jedna.

— Wiecie co — powiada druga, — na pewno zeskok z kozła będzie głowa w dół i tak trzeba się będzie przekręcić, żeby staniać na rękach w pozycji pionowej. Naturalnie, że do tego potrzebny jest materac, bo inaczej mogłybyśmy się pozabijać.

— A z materacem — wtrąca trzecia, to conajwyżej połamamy sobie ręce i nogi.

— „Mój Boże — żali się jakiś „sopran” — jeszcze nie mogę dać sobie rady z kozłem, a tu już nowe ćwiczenia na jakimś tam materacu.

Kilka zwolenniczek ćwiczeń cielesnych było w siódmym niebie. Z niecierpliwością oczekiwały lekcji, by wreszcie dowiedzieć się, do jakich ćwiczeń przeznaczono materac. Jakież jednak było zdziwienie, gdy zamiast przypuszczalnych, karkołomnych sztuk, P. Maryla pokazała nam na początek kilka prostych i łatwych ćwiczeń, które zjednały materacowi ogólną sympatię. Zato jak przyszło do fikania koziołków to dopiero było śmiechu!

Obok materacu stała dziewczynka z miną desperata, kręci głową, namyśla się jakby się to zabrać do tego fiknięcia, wreszcie pełna rezygnacji opiera się głową, chcąc jednocześnie przerzucić nogi w przód, lecz oto jakaś niewidzialna siła trzyma ją w powietrzu, opartą tylko na głowie, po chwili cały tułów zaczyna się chwiać i wahać to w jedną to w drugą stronę, aż wreszcie upada w bok. Zmarszczony od dotknięcia głową materac

leży spokojnie opodal i zdaje się śmiać z tych niefortunnych prób i daremnych wysiłków skonfundowanej uczennicy.

Biegnie druga. Trzydzieści par ciekawych oczu śledzi każdy jej ruch — fiknie,? czy nie fiknie?

Fiknęła, ale jakże niezręcznie! Słysząc wesołe śmiechy i oklaski.

Teraz już lubimy nowy przyrząd gimnastyki i na pauzach nieraz staramy się ćwiczyć, aby nabrać wprawy.

Widz (kurs I).



Cześć tradycjom!

Różne są tradycje i różne społeczeństwa, które im hołdują. My, t. zn. piąty kurs, społeczeństwo złożone z 34 osób, jako piąte z rzędu maturzystki, mamy za sobą bogatą przeszłość i własną tradycję.

Moc tej tradycji jest wielka i wypróbowana przez poprzedniczki, więc tylko z pokorą chylimy czoła i... stosujemy się w każdym szczególe.

Cóż to za tradycja? — zapyta kto.

Zbawienna ciekawość, do wiedzy wiodąca. Tradycja... tradycja to wielka rzecz.

Przed czterema laty przy tych samych stolikach powstała, przechodzi z pokolenia w pokolenie.

Pierwsza rzecz taka tradycyjna — to stół, który, stojąc przez kilka lat w sypialni maturzystek, niejedno już słyszał i niejedno mógłby powiedzieć. Ten stół, co rok żegnany przez te, które już odlatują z niewyczerpaną cierpliwością czeka przez 2 miesiące wakacyjne, by znów usłyszeć to mile powitanie: „Ach, to i ten stół mamy!” Czekają, aby znów jakieś młode ręce postawiły na nim „tremo” (co w dosłownym znaczeniu należy rozumieć, jako kawał wyszczerbionego lustra, przywiezionego niegdyś przez jedną z maturzystek.) Lustro... ileż to spojrzeń na niem spoczęło, ile uśmiechów widziało, ile słyszało pytań, cichutko szeptanych. Wszak to nasze „rozkoszne” lustro dla każdej ma jakąś radę, albo przestrożę. I jednej szepnie do ucha wskazówkę zbawienną, co do czesania, innej do ubrania, innej wreszcie wskaże, jak ma ułożyć twarz i uśmiechy, by wywołać to „ach, jak ty ładnie dziś wyglądasz!” Cześć ci, wyrzeźbione „tremo,” do radco skołatanych maturzystek!

Trzecią rzeczą, o której aż strach mówić, — to sala piątego kursu. Położona na końcu korytarza obok pokoju p. Dyrektorki, sala z ciąglemi napisami na drzwiach „Polityka,” „Konferencja,” „Nie wolno wchodzić” budzi jakiś niewytłumaczony lęk „w uczniowskim narodzie.” O, bo i jest czego się bać, z każdego kąta wielkimi oczami patrzy strach. Spojrzysz na ławkę, „Kot” ku Tobie spogląda i radby cię pochwycić i uwięzić. Spoj-

rzysz na ścianę, jakieś tablice głosek francuskich i mapy złowrogo uśmiechają się do ciebie. A same maturzystki? Pożał się Boże! O, lepiej uciekać, póki jeszcze można, — mówi każda „niematurzystka,” czyniąc przytem ładny zwrot.

Ach ten „Kot” to też spuścizna, to też tradycja, szkoda tylko, że taka konieczna i nieubłagana.

Coprawda po maturze nasze poprzedniczki twierdziły, że „Kot” potrzebny i wcale niestraszny. A więc i my pewnie tradycyjnie to powtórzymy.

Największy przywilej, o którym śni się i marzy przez 4 lata, to siedzenie po pacierzu „pod lampą” (jak się to u nas nazywa). Jakie to przyjemne, kiedy otulone w chustki i szale schodzimy po pacierzu, aby czynić zadość 4-letniej tradycji. A czy lekcje odrobione, czy nie, trzeba siedzieć, bo tradycji sprzeciwić się nie należy. Siedzimy więc nad książkami i, chociaż oczy się kleją, a myśli płaczą, czekamy dotąd, dopóki nie usłyszymy z ust p. Dyrektorki to dobrze znane wszystkim maturzystkom: — spać! Często w takich razach jakiś śpioszek szepnie — nareszcie. Wychozimy z klasy... półmrok... odgłos naszych kroków budzi echo wśród pustych korytarzy. Cały dom we śnie pogrążony, tylko „piątaki” tradycyjnie, pociemku, z rękami naprzód wysuniętymi, wśród krętych przejść między łóżkami kieruje się na dobrze zasłużony odpoczynek.

Najgorszą jednak spuścizną, przekazaną przez poprzedniczki, to wieczny strach, to ten sen zająca. Lekka wzmianka o maturze wywołuje cały szereg długich żalosnych przeciągłych westchnień: „ach „ach „ach!”

Słowo „matura” potrafi zawsze jakiś kompleks wrażeń z niem związanych, które są wieczną udręką naszego „sztubackiego życia”. Drogie poprzedniczki, i za ten strach należy Wam się podziękowanie, bo zawsze temu „ach” towarzyszy zacięte powtarzanie Pestalozzi’ego, Lock’a, Fenelona i t. d.

Na mocy największego uprzywilejowania „piątaki” mogą po pacierzu tremować się na sali, w czym leży niewysychające źródło dobrego humoru, dowcipów i weselości. Każdy nieudany „koziołek” powitany bywa akordem śmiechu.

O, Tradycjo, nawet w takiej rzeczy, jak nasze posiłki, nie zostałaś wzgardzona. Piąty kurs, obiady i kolacje jada oddzielnie. Dla ciebie też, Tradycjo, zapewne, p. Paulcia nie szczędzi skwarek i tłuszczków, twoim hołdowniczkom. Ty, Tradycjo, zapewne też sprawiasz, że nasze nakrycia tak często zarzucamy, potem zmuszone jesteśmy szukać, aby znów za jakiś czas krzyknąć: „Gdzie mój talerz, naznaczony M? Z? 20? gdzie mój kubek ZL? H G? i t. d.

Cześć ci, Tradycjo, i Wam, Drogie „Prababcie”, które ją nam przekazałyście. Wasza pamięć tak jak tradycja, przez Was stworzona, pójdzie z pokolenia w pokolenie!

„Biały płatek.”

MOJE PRAGNIENIA.

Było to parę lat temu.

Przebrzmiał ostatni dzwonek. Lekcje się skończyły. Wyszłam do ogrodu.

Letnie popołudnie było ciepłe, łagodne i jasne.

Jasne, — takie świetliste, bo przepojone słońcem... Całe jego potoki lały się z góry... Zda się, że wszystka jasność, jaką ta ognista kula posiada, roztopiła się i napelniła ziemię, przestworza — — cały wszechświat.

I w ciszy, jaka towarzyszyła światłu, — ozwał się w górze gdzieś, zrazu nieznaczny, potem coraz silniejszy brzęk... Na niebo wypłynął duży ptak z rozpostartymi skrzydłami. Świecił w słońcu blaskami złota. — Ech, gdzie złota! Te blaski słoneczne odbite na stali, grały tak precudownie, że to już nie złoto, lecz coś piękniejszego się widziało... Białe-żółty, z połyskiem czerwonawego koloru błyszczał i błyszczał cały ptak ze wszystkich stron... i — grając swoją metaliczną pieśń — leciał!

Na ziemi było ładnie, bo przecież ziemia jest piękna, zwłaszcza w tak jasny, pogodny letni dzień... ale tam w górze!

— Podniosłam głowę i wpatrzyłam się w niebny szlak. —

Ach, być tam! Choćby na skrzydłach tego złotego ptaka!... Z jego pieśnią i błyskiem lecieć w przestworza, i ... w to właśnie — słońce!

Od tej chwili, napowietrznego ptaka zaczęłam kochać! Ile razy leciał w dzień pogodny wybiegałam i przyglądałam się złotemu kolorowi, w dzień pochmurny słuchałam jego metalicznej pieśni, aż póki nie znikła gdzieś w bezmiarach...

I nieraz, gdy smutno mi było, a najczęściej gdy mnie coś przykrego spotkało, — usłyszałam nagle warczenie aeroplanu i widziałam go lecącego pod niebem. Można sobie wyobrazić, co wtedy czułam... Jak bardzo pragnęłam razem z nim lecieć, — byle uciec od tego, co boli, byle uciec od ludzi. Dziś jestem starsza — zmądrzałam, — ale jednak, kiedy mi świat bardzo dokuczy, ludzie zdają się być nielitościwi, wszystko się wali na moją głowę, — a serce tak mię strasznie boli, tak boli, to wtedy sobie mówię: „ach, żeby mieć aeroplan!”

Raz nawet i w dzienniczku (w takiej właśnie krytycznej chwili...) napisałam, że gdybym miała aeroplan, tobym na ziemię nigdy nie wróciła! W tem jest przesada — naturalnie, ale że to dobry sposób na uciekanie od złości ludzkiej, na uspokojenie nerwów i ukojenie serca, — to fakt!

Więc chciałabym zostać lotniczką, — bo tu życie realne przeważnie jest jednostajne z temi samemi zdobyczami — tam wysoko, — odrębne, podniebne, ze straszliwemi, lecz coraz to nowemi i nieznanemi niespodziankami..

Tu tylko mgły — a tam krainy chmur... Tu walka z życiem — a tam wydzieranie jego tajemnic i ciągły pęd ku krajom czarów i światła, ciemności i cudów... Tu trochę marzeń i pragnień, a tam coraz większa tęsknota i żądza za nowemi odkryciami...

Tu trochę odwagi — a tam całe wielkie męstwo, które po każdym upadku jeszcze się podsyca...

Tu marzenia o sławie, a tam to już konieczność zdobycia zwycięstwa, — choćby — — krwią!

Tu pełzanie — a tam lot!

Tu wreszcie dużo światła, ale tam całe słońce!!!

Tu czasem wszystko mi się przejada i stają się mi poprostu nudne niektóre rzeczy, — lecz powietrze tobym napewno zawsze kochała...
... A może tam w górze znalazłabym swoje dzieciństwo kochane?!

Ot, dlaczego chciałabym jeszcze zostać lotniczką, Kocham Polskę, więc jeśli kiedy wojna była, to jak lotnik Zaruta z „Siły Serca” — Bandrowskiego utworzyłabym „Patrol Śmigi Warczącej” z którą poszłabym na front walczyć..

Ach, walczyć tak, jak lotnik Zaruta!

— Uczyniłabym dużo dla Kochanej Ojczyzny... Gdybym zginęła, to z chwałą — za Polskę! Nie żałoby mi było, bo i tak przecież do celu dobiegam... A zresztą... spadanie aeroplanem na „łeb, na szyję” ma też pewien urok...

Tak, a gdybym odniosła zwycięstwo i koniec wojny przyszedł, — poleciałabym sobie znów daleko w mój świat podniebny... Znów po nowe tajemnice, w to słońce, — przy dźwięku metalicznej pieśni mojego Ptaka — po szczęście!!!

Tak, aeroplan to dla mnie szczęście, — a szczęście to wszystko!...

— „Podchmurny lot.” — kurs II



Wspomnienie.

Fale bolszewizmu rozhukwały się na dobre. Musieliśmy uciekać z Rosji. Smutne oczy matki, znekana twarz ojca zostaną mi na zawsze w pamięci.

Złowrogo szumiały fale Czarnego morza, gdy znaleźliśmy się na pokładzie okrętu. Dziwna rzecz: mimo, że dziesięć lat spędziłam w Rosji pod czułą opieką rodziców, nie znałam grozy wygnania na Sybirze, nie znałam głodu, opuszczając Odesę, nieżał mi było „rodzinnych” stron. Budziła się tylko w duszy tęsknota za Polską i później w miarę zbliżania się do Ojczyzny ta tęsknota wzrastała, potężniała.

Okręt ruszył, zdaleka zarysowywały się jeszcze przez mgłę pozłacane kopuły cerkwi, aż i te znikły. Na horyzoncie pozostał siny, wąski pasek ziemi. Kajuty były ciasne, niewygodne.

Nie lubiłam swoich rówieśnic; wolałam sama stać opartą o balustradę i przyglądać się morzu. Pokochałam morze. Ciemne fale bezustannie przelewały się przez siebie, pieniać się ciągle, a okręt pozostawiał za sobą białą, szeroką smugę wody. Płyneliśmy, nie wiem jak długo; Prawdopodobnie kilkanaście dni. Morze codzień było inne. Na pełnym morzu zdaleka płynęły delfiny, wyskakując co chwila z wody, dążyły do okrętu. Widocznie szukały żeru. Gdy słońce przedarło czasem gęstą zaslonę chmur i oświeciło głębie wodne, wówczas spostrzegłam stada tych ryb, płynące obok okrętu. Ulubionem mojem zajęciem było sypanie im soczewicy. Raz spotkała nas burza. Nie bałam się jej wcale. Bliskie niebezpieczeństwo sprawiało mi niewysłowioną rozkosz, czułam się szczęśliwą wśród rozpęta-nych żywiołów. Zdawało mi się, że jestem w świecie sobie nieznanym, a jednak tak bardzo bliskim... swoim...

Okręt, miotany rozwścieczonemi balwanami, podrzucany wysoko w górę, kładł się z boku na bok. Przez pokład przelewały się grube warstwy wody. Stałam wówczas na górnym pokładzie, trzymając się mocno krat, o alających główny komin, z oczami zamkniętymi, tak mi było jakoś dobrze..... Rodzice mię odwoływali, ale nie posłuchałam.... Stałam tak, dosyć długo... Zeszłam potem, ślizgając się ciągle i padając, do kajuty. Pasażerowie wszyscy bardzo się bali, dzieci płakały. Dlaczego? — zwyczajnie — ludzie. — Zasnęłam wreszcie, ukołysana szalejącą burzą. Gdy rano zbudziłam się, morze było tylko trochę wzburzone. Burza minęła — a z nią najpiękniejsze chwile, spędzone na morzu. Słońce prawie nigdy nie świeciło, czasem kilka promieni przedarło się przez chmury, potem znów gasły...Głębie morza zawsze były ponure, czarne, w innych budzące strach, we mnie tylko podziw i chęć bliższego z nimi poznania się.....Kochałam morze i kocham je; było ono dla mnie morzem tajemnic, morzem uczucia....morzem wszystkiego najlepszego, morzem mądrości.....Nie czułam tęsknoty za lądem, chciałabym płynąć i płynąć bez końca. Pierwszy raz okręt od wyjazdu z Odessy zatrzymał się w Konstantynopolu. Do okrętu cisnęły małe łodzie, wypełnione mandarynkami, czekoladkami i.... Turkami. W Konstantynopolu nie byłam; na dnie duszy pozostał tylko do dzisiejszego dnia, obraz portu. Ani morze Śródziemne, ani Adrjatyk nie wywarły na mnie takiego wrażenia, co morze Czarne.

Ojsza (K. I).

OBLAWA.

Potężna królowa zima objęła panowanie nad światem. Zasiadła na mroźnym tronie zdobna w brylanty, i otulona delikatnym, srebrnym pyłkiem śniegu. Srogi giermek jej, mróz, skuł wody lodowym pancerzem. Zakrzepła ziemia. Odleciały ptaki. Nastal czas zaciętych walk o łup. Wieczorami rozlega się wycie wilków.

Świat cały odpoczywa pod misternym płaszczem zimy. wszędzie białło, pusto, glucho.

Zadźwięczały dzwonki. Przed dworkiem na Wileńszczyźnie stanęły sanki. Wyskoczył z nich wysoki, młody mężczyzna ze strzelbą na ramieniu. Zarzucił lejce Baśce, cmoknął na psa i wbiegł na ganek.

— Dzień dobry państwu. —

— Dzień dobry panu. Dawno pan u nas nie był.

— Co u Pana słychać? —

— Dziękuję, ot „pomaleńku sobie”, wszystko dobrze. Ja „przyjechał” pana prosić o pomoc. Otóż „dostał” ja zawiadomienie, że koło puszczy Cytowizny, jest kilka gniazd wilków. Wczoraj na naradzie myśliwi postanowili zrobić na nie obławę. Bardzoby my byli radzi, gdyby pan zechciał z nami zapolować. Pańska „fuźja” dużoby pomogła.

— Kiedy będzie obława?

— Jutro rano

— Dobrze. Jadę. przenocuje pan u nas, a rano na „Borucie” pojedziemy.

— Możeby pan był na tyle łaskawy i pożyczył mi prochu, bo on mnie już „wyszedłszy” zupełnie.

— Owszem. Możemy nawet od razu zrobić dla pana naboje bo, mam gilzy i kapiszony w zapasie.

I obydwaj myśliwi w skupieniu ducha zabrali się do robienia naboji.

Nazajutrz panowie z nabitemi dubeltówkami, z myśliwskimi pasami, naszpikowanymi nabojami na grubego zwierza — loftkami — wyruszyli na obławę.

We wsi Kalecze—Pole, gdzie miał być punkt zborny obławników, nie zastali jeszcze nikogo. Ale niebawem myśliwi zaczęli się zjeżdżać. Każdy uzbrojony w stare lub nowe szesnastki czy dwunastki fuzje.

Przetrącono „jednego na pomyślny wynik.” Potem naczelny dowódca krwiożerczej wyprawy przemówił krótko, wężłowato o obowiązkach myśliwych na stanowisku. I wyruszono.

Bor stał biały, ponury, groźny. Drzewa, osypane śniegiem, zdawały się zastępować drogę.

Myśliwi zajęli wyznaczone stanowiska.

Pospuszczano psy ze smyczy. Rozpoczęła pracę naganka — Zwierz był otoczony. Gdzieś hen, daleko, w głębi rozległo się najpierw ciche i pojedyncze, a potem coraz głośniejsze i natarczywsze ujadanie psiarni. P. Witold stał oparty o pień wysmukłej sosny, gotowy do strzału. W czarnych oczach gorzał ogień myśliwskiej żyłki. Nozdrza z lubością wciągają rześwe, mroźne powietrze. Przez głowę w szalonym tempie przelatują myśli. Zacięte usta milczą.

Gdy tak stał, wyteżając wzrok i słuch, z krzaków wypadł szarak. Zmęczony był i wystraszony. Słuchy podnosił do góry to znów błądził po sobie. Ujrawszy na swej drodze czeluście luf fuzji, szybko rzucił się w bok i pognął w las. P. Witoldowi drgnęła strzelba, ale w tej samej chwili zreflektował się. Przecież to zwykły szarak. Jeszcze się z nim zdąży bliżej poznać. Upłynęła długa chwila. Cisza.

Witold zasluchał się w szum sosen.

Gwarzyły cicho... Żyją już tyle lat — tyle widziały — przeszły. Jeszcze teraz na wspomnienie krwawych potyczek, rozpaczliwej obrony każdego kawałka ziemi, zastanego trupami, dreszcz grozy i przerażenia wstrząsa ich konary. Szumią o powstaniu, odrodzeniu Nieśmiertelnej, poległych, co spoczywają we wspólnej mogile pod białym krzyżem brzoźowym, oddani ich opiece.

Gwarzą zawsze..

Hej, kresyll....

Rubieży Rzeczypospolitej, strojna w dzikie, piękne zakątki, malownicze jeziora i cuda przyrody, bogata w prostotę, szczerłość, patriotyzm, gościnność jak i ty jesteś drogą!!!....

Myśliwy ma tu raj na ziemi, człowiek znużony, — wytchnienie, spokój, zdrowie, a kresowiak cel swojego życia.....

Sosny gwarzą....gwarzą.

Wtem rozległ się huk wystrzału. Witold oprzytomniał. Zaczął bacznie nasłuchiwać. Serce waliło szybko.. mróz tęgi.. pyszne futro.. Cenna wilczura..

W odległości kilkudziesięciu kroków wyszedł wilk. Zabłysły ślepią.

Myśliwy drgnął nerwowo. Obława ... wilczura ... sława ... Chwycił fuzję. Wróciła mu zimna krew. Muszka na łbie zwierzęcia ... Suchy trzask cyngla. — Padł strzał.

Na białym śniegu zwałilo się drgające w konwulsjach bure cielsko.

— — — — —

— Ot, panowie na onegdajszej obławie poszczęściło mi się, stanie. Stał ja, panie, w gotowości do strzału, ale ot, nie spodziewawszy się, panie, tak zrazu wilka, trochę ja „był zamyśliwszy” się i byłby, panie, może spudłował. Poczekawszy troszeczkę ja, panie, „strzelił.” I ot tak jemu, panie, dostało się. A ot dziś za moją wilczurę miałby prochu na cały rok — —

— Ja, proszę państwa raz na polowaniu nawet niechcący zabiłem 4 kaczki jednym nabojem, ale jedna zginęła, drugą pies zjadł, trzecia była tylko raniona, tak że sobie poleciała, a czwartej nie widziałem.

Tak to myśliwi po słynnej obławie przy obficie zastawionym stole, często gęsto „zakrapiając” obficie swe triumfy, opowiadali myśliwskie przygody, koloryzując je z mistrzostwem równym Zagłobie!

Kresowianka.



U ŹRÓDEŁ WISŁY.

Wycieczka dobiega końca. ... Jeszcze, jeszcze — wrywa się spragnione westchnienie — w góry, w nasze Beskidy. Tu z trudnością, zda się, przesuwają się złote nici poprzez szare, przedymione powietrze śląskiej ziemi. Dusza pragnie rozkoszy czystych tchnień natury.

Pędzi pociąg; za sobą pozostawia tylko kłęby dymu, i huk fabryczny, i głuchy łoskot kopalniany, i gwar zmieszany tłumy, a wdali przed rozwartą żłenicą... w chmurach zarysowują się już Beskidy.

Z okien wagonu widać podmokłe, woniejące łąki z kopieciami siana, bezlitośnie rozpiętymi na polach sosnowych, oderwanymi od łona matki — ziemi. Już koła z jękiem uderzają o szyny, parowóz z wysiłkiem wyrzuca parę i ciemny dym.

Dojeżdżamy do Milówki: Ukazuje się mała stacyjka; jakaś cicha, a nade wszystko inna ze swą gromadką podróżników, spokojnie rozmawiających, od rozgadanych dworców Zagłębia.

Idziemy długą ulicą wsi góralskiej. I wciąż pod górę, pod górę, ale same nogi niosą i rozskrzydlona dusza pcha: byle prędzej, prędzej do „uwielbionych.” A najdłuższa Kamesznica: wieki się ciągnie. I niema końca i niema. Urocze chałupki górali, porozrzucane daleko od siebie na zielonych wzgórkach, zwodzą nas tylko. Chyba ostatnia, wtem po pewnym czasie znów skądś się wylania.

Już dawno zaszło słońce za dalekie szczyty. Zatrzymujemy się przed zagrodą. Nareszcie... o, radości! Wnoszą świeże siano, dają świeże zimne mleko. Izba góralska zadrżała od niewysłowionej uciechy. Zrobił się krzyk, rwetes, zamieszanie.

Pędzimy z mydłem na pół ubrane do potoku. Rozkoszna kąpiel; zwysoka patrzy srebrny księżyc, woda lśni i wartko się przelewa po kamieniach.

Nazajutrz z plecakami powoli posuwamy się pod Baranią Górę, jeszcze tego dnia weszliśmy na szczyt, okolony regłami. Odpoczynek... tradycyjne fotografowanie się... powrót do schroniska... nocleg.

— — — — —

Świt, złocą się wierzchołki ciemnych świerków. Pogodnie zapowiada się dzień czerwcowy. Podchodzimy pod wierzch Baraniej i znów widok cudowny: zalesione doliny, a na horyzoncie we mgle stoją, jakby kołyszące się, szczyty Beskidów. Schodzimy po stromych, śliskich ścieżkach, kierując się bardziej ku zachodniej stronie. Przedzieramy się przez gestwinę, kaleczymy się, ale nie odczuwamy tego, bo tylko widzi się piękno, wdycha się je, żyje się nim.

Z gąszczy dochodzi do uszu jakiś przyciszony szmer. Pod nogami rozpościera się miękki, grząski kobierzec mchów. Ze zboczów spływają krople w wąwóz. Więc to są źródła Wisły? Naszej potężnej królowej rzek? Tak, to Biała Wisielka stąd się wylania, jakoby ze srebrzystych, cichych lez Baraniej Góry.

Dalej — cichy szelest, niby syk węża, ukrytego w trawie, to wypełza wolno wąska struga... Jeszcze kilkadziesiąt kroków, a słysząc bulgot i wreszcie głośnie staczanie się wody po wygładzonych kamieniach. I coraz dalej, dalej, pełźnie niepowstrzymany, dziki potok, szeroki na $1\frac{1}{2}$ — 2 metry; nie zna przeszkód, skręca i ginie w lasach. Wtem z szumem przeskakuje napotkane glazy i głośnie opada, rozpryskując się na mikroskopijne kropelki, ginące w przejrzystym powietrzu. Uchodzi Wisielka z czarownej przyrody, nietkniętej ludzką ręką; na pożegnanie rzuca jęk z pienistych wodospadów, a w naszą duszę — nieśmiertelną melodję świętej przyrody.

Tu wytchnienie, tu słodycz rozkoszy niepokalanых powiewów, tu się chce żyć i kochać, kochać, aż do ostatniego tchu, cały świat. Co za kontrast stanowią kopalnie, tak niedawno zwiedzane przez nas. Z duszy wyrwa się modlitwa: O, Panie Boże, przeniknij jasnością kopalnię czarną, daj biednym górnikom tego słońca, tego tchnienia świeżego.

Dochodzimy do miejsca, gdzie Biała Wisielka spotyka się ze swą siostrzycą Czarną; spajają się w ucisku i mkną razem, jako jedna Wisła. Na lewym brzegu stoją skały, nagie, odsłaniające swe ukośne pokłady; na prawym brzegu jest sztuczne podmurowanie.

Przy ujściu Czarnej Wisielki był miły wypoczynek i orzeźwiająca kąpiel i... prawdziwa sensacja: oglądanie sarenki, która się rozbiła o skały.

Powrót w górę Wisielki Czarnej, w cieniu wysokich świerków; potem w stronę północną, idziemy prędko, wesoło, poprzez wąwozy głębokie, cieniste lasy po zboczach Baraniej Góry.

Dusza pogrąża się w głębokiej zadumie, pełnia radości napawa serce, mówi o dobroci, każe uwielbiać Tego, Który wszystko stworzył.

Zbliża się wieczór, skracamy drogę wąskimi ścieżynami. Ale co to?

—budzi się niepokój, straciłyśmy wskaźnik drogi, a słońce tuż, tuż nad górą... Jakoś tęsknie zaszumiały gałęzie.

„Tu trzeba się zatrzymać — mówi p. przewodnicząca — ja zaś pójdę w górę.” Z p. przewodniczącą poszły dwie koleżanki.

Czekamy długo, długo. Może wypadnie zanocować, różne baśnie o niedźwiedziach stają w wyobraźni. Odeszłam dalej pod rozłożystą szatę świerka.

— — — — —
Czarna noc; coraz to błyskawica rozdziera niebo, przeszywający huk grzmotów uderza o skały.. Straszno... drzę cała. A tam... watra się pali, płomień wybucha i trzaska. Wstrzymałam oddech...Boję się poruszyć, bo tam... zbójnicy. Och, jakie straszne twarze. Boże... Boże... nie, nie otworzę oczu, ale czuję że stoi nade mną straszny zbójnik. Patrzy złowrogo. Leciuchno uchylam powiekę. „Ależ usnęłaś! — słyszę głos — wiesz, że jeszcze nie wróciły, co będzie z nami?” Z początku nie rozumiem, o co chodzi. Aha, już wiem. Zrywam się. Ja tak beczynnie czekać nie mogę. Uzyskuję pozwolenie od p. wychowawczyni i pędzę w przeciwną stronę; lekko się w dół biegnie, ale i tu napróżno. Zatem pójdę naprzód. Gdy tak szłam w zamyśleniu, ujrzałam siedzącą pod drzewem koleżankę.

„Gdzież jest panna Ziuta z Marylą?” — pytam.

„Jeszcze nie wróciły, ja tu czekam na hasło” — odparła.

„Idźmy jednak powoli dalej.”

Nie uszłyśmy kilkudziesięciu kroków, gdy z zakrętu ukazała się, p. przewodnicząca z koleżanką.

„No, już chyba zniecierpliwiłyście się, ale nie martwcie się, jest droga” — mówi uśmiechnięta nasza Pani. Pytamy o drogę i prosimy o pozwolenie, aby iść dalej, nie czekając na resztę.

„Byle wejść na szczyt, a stamtąd puścimy się truchcikiem” — tak dodajemy sobie bódźca, bo już nogi odmawiają posłuszeństwa.

Weszłyśmy na szczyt. Widok, którego nic nie zdoła zatrzeć w pamięci, ukazał się oczom. Złota tarcza schodziła z nieba. W przyrodzie uroczysty nastrój.

Późno wieczorem wróciłyśmy do schroniska.

Apetyty wyśmienite dopisywały.

Nazajutrz z żalem pożegnałyśmy ukochane góry, ale z energią i zapamiętem w duszy.

M.



DZIAŁ KOŁA PRZYRODNICZO-GEOGRAFICZNEGO IM. ROSTAFIŃSKIEGO.

Zwyczaje ludowe w Smogorzowie.

Naszą okolicę, jak każdą inną, charakteryzują różne zwyczaje ludowe. Zwyczaje te jednak zaniknęły już w znacznej mierze i zanikają coraz bardziej. Od najdawniejszych czasów, rano w wigilię Bożego Narodzenia, sąsiedzi łamią się opłatkiem. Wieczera wigilijna zaczyna się zwykle o zmierzchu, przy stole lub ławie, nakrytej białym obrusem, na środku której leży Pan Jezus na sianku. Kolacja musi się składać z kilku potraw i w dodatku nie do pary. Po wieczery gospodarz bierze garść słomy i rzuca za belkę. Słoma, która zatrzymała się za belką jest wyrocznią o tegorocznym urodzaju. O ile w której chacie niema belek, to snopy słomy stawiają w kącie izby. Następnie gospodarz idzie do ogrodu obwiązywać drzewa słomą, aby dobrze rodziły. Jest także wiara między ludem, że bydło tej nocy przemawia ludzkim językiem. Kiedyś, w wieczór wigilijny dziewczęta wróżyły sobie w najprzeróżniejszy sposób: oto np: biegły do sąsiada, zabierając narecze drzewa. Jeśli liczba dREW była parzysta, znaczyło to, że w tym roku wyjdzie zamaż, o ile nieparzysta — ma pozostać panną. Następnie liczyły sztachety u płotów: o ile doliczyły się liczby parzystej, mogły mieć nadzieję zamażpójścia, o ile zaś liczby nieparzystej, nadzieja ta zniknęła. Tak dziewczęta jak i chłopcy stawiali przed chatą i krzyczeli na cały głos: hul ha!, nadsluchując przytem w której stronie echo powtórzy te wyrazy. Z tej to bowiem strony miał się zjawiać towarzysz lub w tamtej stronie miała być towarzyszka dalszego życia. Obecnie tych zwyczajów już niema. Jest jeszcze przesąd, że kto zaśpi w wigilię, będzie śpiochem przez cały rok. Które dziecko dostanie różgi, ma być bite przez cały rok. W pierwszy dzień Bożego Narodzenia nie chodzą nigdzie, gdyż uważają, że dnia tego jest za duże święto. W tym dniu nie sprzątają zupełnie — nawet słomy, która została z wigilji.

Na sumie, w dzień św. Szczepana, jedni drugich obsypują owsem na pamiątkę męczeńskiej śmierci tegoż świętego. Od tego dnia począwszy, chodzą „koledziarze” z gwiazdami i szopką, śpiewają koledy własnego utworu i dopominają się przytem od gospodyni prezentu, jak np: kielbasy.

W ostatki urządzony był tu kiedyś t. zw. „jarmark na jałówki.” W ostatnią niedzielę karnawału wójt ogłaszał w karczmie, stojąc na piecu, że w „kusaki” (wigilja środy popielcowej) odbędzie się „jarmark na jałówki.” Z nadejściem ulubionego dnia przez młodzież, tak dziewczęta jak i chłopcy schodzili się do karczmy. Przytem chłopcy zamykali drzwi, aby żadna

z dziewcząt nie mogła uciec. Następnie na beczce piwa siadało dwóch chłopców, którzy oglądali dziewczęta, jako „jałoweczki” do nabycia. Ładne dziewczęta były następnie rozchwytywane w tańcu i obsypywane łakociami. Zabawa taka trwała do późnej nocy, a dziś pozostała jako wspomnienie ubiegłych lat.

W półpoście rozbijają garnki z popiołem, a na ścianach chat, w których są panny „na wydaniu,” malują przeróżne postaci i zwierzęta.

Święta Wielkanocne odznaczają się tylko laniem wodą. Kiedyś chłopcy zabierali dziewczęta do stawu i zanurzali je w wodzie, lub do studni i wylewali na nią kilka wiader wody. Która nie była oblana, nie miała powodzenia u chłopców. Dziś oblewają się znacznie mniej, a nawet używana jest kolońska woda i perfumy. W niedzielę Przewodnią dziewczęta posyłają chłopcom pisanki: zamożniejsze do 30, uboższe od 10—15 sztuk. O ile ofiarowczyni chłopcu się nie podoba, wówczas pisanki odsyła, w przeciwnym razie rewanżuje się prezentem w rodzaju wstążki, koralu a nawet materiału na sukienkę.

Takie oto zwyczaje charakteryzują naszą okolicę, lecz szkoda bardzo, że zanikają coraz więcej.

Geografka k. IV.



KRONIKA.

3 stycznia. Zjeżdżamy się do szkoły... Tyle wrażeń... każda opowiada... opowiada... Z okrzykiem: „Hurra, Sylwester!” — wypadła z bagażem Andziula... za nią Wańdzia z grzywką „à la bébé” i Irka, tłumiąc westchnienie „do domu!...” — Kiedy we drzwiach zarysowała się sylwetka naszej Ziuni, powstał hałas... krzyk... nie do opisanego... Towarzyski jej śmiały się do rozpuku... Ziuta bowiem miała straszliwą przygodę z walizką № 165.

5 stycznia. Oplatek sodalicyjny. Na sali zebrały się wszystkie panie, ks. Kanonik i sodaliski. Marysia Strzelecka w imieniu koleżanek zło-

żyła życzenia wszystkim paniom i podzieliła się z nimi oplatkiem Nasirój był bardzo połączony i uroczysty... Popłynęły koledy u stóp jarzącej się choinki...

8 stycznia. Jesteśmy bardzo zainteresowane... Panie wychowawczynie klasowe mają mieć szóstą godzinę... Nie wiedziałyśmy co to będzie?... Tysiące przypuszczeń nieprawdopodobnych, wiele domysłów fantastycznych przewijało się przez zaciekawione umysły... Po dzwonku zagadka wyjaśniła się... Ogłoszoną została ankietka, dotycząca naszej pracy pozalekcyjnej. Spotkała nas z jednej strony niespodzianka, a z dru-

giej rozczarowanie co do naszych przypuszczeń...

21 stycznia. Dzisiejszy wieczór został urozmaïcony staraniem III kursu i „Grupy Towarzyskiej.” Pierwszą część programu stanowiła „Pasterka” kom. w. 3ch aktach Wolniewiczówny — drugą — powtórzenie „Kaloszy” Fredry.

30 stycznia. Sesja... to słowo nigdy chyba nie będzie dla nas obojętnym... Ciekawe jesteśmy wyniku obrad... Ziuta pociesza nas: „jakoś tam będzie”...

2 lutego. Większość kursów otrzymała już cenzurki — inne czekają z niecierpliwością.

Wieczorem odbyło się bardzo miłutkie i dobrze odegrane przedstawienie wstępnego kursu, składające się z trzech jednoaktówek p. t. „Skarbonka” „Edukacja Bronki,” i „Elegancki Karolek.”

3 lutego. Odbyło się walne zebranie Koła Samokształcenia, na którym poszczególne grupy zdawały sprawozdanie ze swej działalności.

7 lutego. Tłusty czwartek! Ileż pomysłów... Wielkiem powodzeniem cieszyły się jak zwykle djaby, stanowiące jakby odzwierciedlenie dla „Tłustego Czwartku,” który ustrojony suto i obficie odwiedzał wszystkie sale, wypowiadał swoją wesołą i dowcipną przemowę, poczem następował taniec Pierrota i Colombiny. —

Do księdza Kanonika zgłosiła się para, pragnąca zawrzeć związek małżeński. Początkowo ks. Kanonik czynił trudności, ale po długich pertraktacjach — zamieniono pierścionki. Kiedy młoda para, doczekawszy się

końca lekcji, puściła się w wir oberka, na sali ukazała się konstellacja gwiazd, która rozpoczęła swój roczny obieg naokoło słońca, przewyższającego wzrostem inne planety.

Po kolacji I kurs urządził nam niespodziankę w postaci monologów, tańce Pierrota i Colombiny. Ale największy entuzjazm, sprawiły pączki...

10 lutego. Zabawa... odbywa się naprzemian to na górze i na dole przy dźwiękach kapeli wiejskiej lub fortepianu. Po salach kręcą się pary... Trawka z Pierrotem... Lalka z krakowianką... Djabeł z Colombiną.

O godzinie 10-tej podano pączki... przyjęłyśmy je bardzo owacyjnie... Czas leciał jak strzała... Kiedy uderzył dzwonek, wzywający na spoczynek, zdziwiłyśmy się i co chwila wysyłałyśmy delegację, aby choć 1/2 minuty dłużej można było tańczyć...

12 lutego. Ostatki... każdą wolną chwilę tańczymy. Wieczorem bawiłyśmy się dłużej niż zwykle przy dźwiękach orkiestry wiejskiej. Wodzirejem została Hońka, która kombinowała coraz to nowe figury...

13 lutego. Popielec... Już pożegnaliśmy karnawał, przyrzekając sobie dobrze post przepędzić, tem bardziej, że do końca okresu niedaleko...

24 lutego. IV kurs uczy się gotować... Wyglądają wspaniale przy tej pracy, zwłaszcza Hońka, którą długi fartuch podwyższył... Gdzie kucharek sześć... głosi przysłowie — tam niema co jeść... Jednak nasze „milusie kuchmistrzynie” zaprzeczyły temu, gdyż jedzenia, przez nie przyrządzonego, było pod dostatkiem...

Redaktorka odpowiedzialna: Irena Bagieńska.

Adres Redakcji: SEMINARIUM NAUCZ. ŻEŃSKIE W MARJÓWCE P. PRZYSUCHA.
PRENUMERATA ROCZNA 2,50 z PRZESYŁKĄ 3 zł..

Druk szkoły rzemiosł w Marjówce.